

WĘGAJTY WIOSNĄ

Chyba żaden teatr nie jest tak uzależniony od pór roku jak Węgajty. Byłam tam parę lat temu jesienią, kiedy wszystkich zaskoczył wczesny śnieg i dotkliwy chłód, który roztopiło dopiero ciepło żarzącego się w sieni kominka.

Teatr Sobaszków i Niklausów doskonale funkcjonowałby bez muśnięcia ręki scenografa, tylko i wyłącznie w oparciu o tło otaczającej ich przyrody. Tak było i tym razem. Pogoda sprzyjała. O zachodzie słońca zbliżaliśmy się traktem od Jonkowa podziwiając grę kolorów na niebie i ziemi obciągającej przykusa, zieloną sukienkę. Tuż u celu wyprzedził nas korowód ludzi sunący polną drogą wśród rozrostłych traw na widowisko. Pojawiła się i muzyka — żabie bre-ke-keksy wykonywane z dużą pasją i swadą.

Wreszcie teatr. Przedsiönek wypełniający się tłumkiem Niemców i Polaków. Ktoś uczenie komentuje węgajtowskie dokonania, ktoś inny rozpala ogień w kominku, bardziej dla fantazji gdyż wieczór jest ciepły. Powoli przygotowujemy się do misterium. Gdyż i w takich kategoriach można rozpatrywać widowisko osnute na wątkach Vincenza i Miłosza, utkane w dwa spektakle przepełnione doskonale dobraną i ofiarowaną publiczności muzyką.

Muzyką graną, śpiewaną i tańczoną. Muzyką, która leży u źródeł każdego teatru. Harmonią dźwięków jest tekst podawany przez aktorów. Jakże pięknie rozbrzmiewa miłosny dialog pomiędzy grzeszną Magdaleną i jej kochankiem wypowiedzany w niemieckiej mowie. Nie wytracił wschodniego zaśpiewu w swej polszczyźnie młodzi Rosjanie biorący udział w spektaklu. Rytmicznie wybijają takt stopy aktorów. Aktorzy z Węgajt grają role, które można byłoby miast scenariusza przedstawić w zapisie nutowym.

Bo nie jestem całkiem pewna czy na początku rzeczywiście było słowo. Głównie bym dała, że była to jednak muzyka. (B.U.)